ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. **Niedziela 11 listopada 1934 r.** **Nr. 47**

Józef Marjan Chudek

Kraj lat dziecinnych Sienkiewicza

Sienkiewicza cechuje się potocznie etykietką: Podlasiak. Jest to jednak pewne uproszczenie, bo cała podlaskość jego jest raczej przypadkowa. Elementem napływowym, niezasiedziałym na Podlasiu byli jego rodzice. Ojciec, według metryki ślubnej, urodził się we wsi Woźna w Augustowskiem; matka w Warszawie. Temniemniej słusznie w papierach osobistych pisano Sienkiewiczowi: rodem z Woli Okrzejskiej. Tu się przecież urodził.

Za centrum Sienkiewiczyzny na Podlasiu uważa się dziś Okrzeję w powiecie łukowskim. Powodów jest kilka.

Przedewszystkiem Okrzeja — to gniazdo rodu Cieciszowskich, z którego wyszła matka Sienkiewicza. Oni tu restaurowali kościół porafjalny, pamiętali o zaopatrzeniu go w aparaty kościelne, wreszcie chowali się pod nim, a gdy ostatni z nich, dożywający na starokawalerstwie u Szydłowskich w niedalekiem Jagodnem, umierał bezpotomnie, kazał wejście do grobów zamurować, razem z papierami rodzinnemi, niby w młodzieńczej, romantycznej opowiastce Krasińskiego ostatni z Reichstalów.

W Okrzei także odbył się ślub rodziców Sienkiewicza, chrzest jego i jego starszego brata, wskutek czego tu spisywano odpowiednie akta, opatrzone własnoręcznemi podpisami; na cmentarzu okrzejskim spoczęła też matka, której nie było dano doczekać światowej sławy syna — jedyna z Cieciszowskich, dla której zabrakło miejsca w grobie rodzinnym pod kościołem, choć nie brakło go dla tylu poczciwych, przeciętnych hreczkosiejów.

Do względów historycznych dodać należy jeszcze aktualne. A więc przecież tu sypie się kopiec pamiątkowy, na którym kiedyś stanąć ma pomnik; tu kończy się budowę okazałej szkoły — pomnika imienia Sienkiewicza; tu sczasem ks. dr. Antoni Kresa — obecny proboszcz okrzejski pragnie zbudować Muzeum Sienkiewiczowskie, dla którego dzieci Sienkiewicza zadeklarowały już szereg pamiątek, mianowicie: „łóżko, które służyło naszemu Ojcu w ostatnich miesiącach Jego życia w Vevey i na którem spoczywał po śmierci", fotel, „kałamarz, który służył naszemu Ojcu przez długie lata", pióro, nóż do rozcinania papieru, binokle, papierośnicę, bursztynek, „kapelusz i prawdopodobnie jakieś zwierzchnie odzienie", fotografję z r. 1900, „luźne kartki z rękopisów".[1]. Pozatem marzeniem ks. Kresy jest, ażeby zgromadzić jaknajwiększą liczbę przekładów Sienkiewicza na języki obce.

Narazie o typie muzeum jeszcze się nie mówi, ale spodziewać się należy, że będzie to instytucja o charakterze pedagogicznym — mająca za zadanie zapoznawać wycieczki młodzieży i turystów z rolą Sienkiewicza w literaturze światowej i w społeczeństwie polskiem. Placówka naukowa typu Muzeum Mickiewiczowskiego w Paryżu powstać będzie musiała gdzieindziej. (Może kiedyś w Oblęgorku, gdzie dotąd strzeże się materjałów, zawczesnych jeszcze do publikacji?)

Archiwum parafjalne w Okrzei sięga lat, w których pan Zagłoba dziadkował synom Skrzetuskiego. Okrzeja posiadała wtedy zamek, była miastem, nie osadą jak dziś, w części stanowiła własność królewską, a częściowo Leśniowolskich. Wąskie karty ówczesnych zapisek metrykalnych, wypełnione floresowatemi słowami, są czytelniejsze od kart z lat czterdziestych wieku ubiegłego. Chropowaty papier, blaknący atrament utrudniają szybkie odczytywanie tasiemcowatych okresów, któremi dotąd niezmiennie spisuje się akta stanu cywilnego. Najwięcej dało się to we znaki aktowi 30 w księdze urodzonych z r. 1846, dotyczącemu „Henryka, Adama, Alexandra, Piusa" z Woli Okrzejskiej.

Był cichy wieczór, kiedy razem z p. Stanisławem Kurkiem — skarbnikiem komitetu budowy kopca, szeleszczące opornie karty wertowaliśmy przy wątłem świetle naftowej lampy. Z wypełzłych aktów zmartwychwstawały razporaz postaci, których imion pewnie i potomkowie zapomnieli. A właśnie z metryką Sienkiewicza najwięcej było trudu. Nie pomógł płomień świecy, gdy samo światło lampy wydało się nam zbyt nikłem. To nie światło było winne: czytana zbyt skwapliwie, zaczęsto pokazywana, metryka Sienkiewicza miejscami została zatarta przez pomagające czytaniu palce. I właściwie teraz koniecznaby była jakaś konserwacja, bo w takim stanie metryka długo nie pociągnie.

Tekst metryki Sienkiewicza został opublikowany bodaj już za życia pisarza. Oczywiście, z nieodstępnemi błędami. Ale i najpoprawniejszy przedruk nie da obrazu zdarzeń sprzed wieku niemal. Trzeba je raczej opowiedzieć zwykłemi słowami.

Działo się to 7 maja 1846 r. o siódmej wieczór. Z Woli Okrzejskiej, odległej o 4 km., położonej wśród lasów, o których mówili mi tylko ludzie bardzo starzy, przyjechał orszak chrzestny w dwie pary, żeby ochrzcić drugiego skolei syna Józefa i Stefanji z Cieciszowskich Sienkiewiczów, urodzonego zaledwie przed godziną. Pierwszy ich syn — Kazimierz Marjan Feliks Józef — później emigrant, garybaldczyk, poległy ostatecznie w wojnie francusko - pruskiej — urodził się prawie dwa lata temu. Ceremonij chrzestnych dokonał proboszcz ówczesny — ks. Antoni Guttman, który podpisał akt razem ze świadkami i ojcem. Do chrztu podawał Sienkiewicza w pierwszą parę z Józefą Cieciszowską wuj Adam Cieciszowski, który mimo dwudziestu trzech lat gospodarzył samodzielnie w Woli Okrzejskiej, mając przy sobie matkę - wdowę od r. 1827, w drugą zaś parę Paulina i Zdzisław Dmochowscy.

Ze schematycznego tekstu metryki chciałem wyczytać coś spomiędzy wierszy. Najwięcej uderzała mnie stylizacja: „Wielmożny Józef Sienkiewicz Ojciec, Dziedzic Grotek lat trzydzieści dwa mający, w Grotkach zamieszkały".

— Nieprawda, nigdy nic nie mieli! — przypomina się wbrew mej woli obleśny sprzeciw jakiejś Sienkiewiczowi dwudziestej wody po kisielu, gdy zrobiłem uwagę, że podobno stary Sienkiewicz miał majątek w Radomskiem.

Ten „dziedzic" w akcie zjawił się, jak się zdaje, dla honoru i splendoru ze względu na rodzinę matki, bo ojciec, tak naprawdę, był tylko administratorem majątków Czartoryskich w Woli Gułowskiej, oddalonej o parę kilometrów od Okrzei.

Ciekawy również jest sam podpis: „Sienkiewicz Józef Oyciec" z „y" w roku Pańskim 1846, co daje wskazówkę, że to musiał być zaciekły konserwatysta, czy raczej poczciwa tabaka w rogu. Nie miał czasu się dowiedzieć, że ortografja od lat uległa zmianie. Litery stawiał rozważnie, statecznie, znać, że rzadko się brał za pióro.

— Był wielki safanduła i wszystko. I ona wychowywała dzieci — mówił mi tego dnia rano p. Wacław Janasz, który w jakiś okrężny sposób odziedziczył po Cieciszowskich nietylko Jagodne, ale i nienawiść do starego Sienkiewicza, który miał się stać ojcem jednego z największych pisarzy polskich.

Trudno dojść dzisiaj, jak to było z małżeństwem Sienkiewiczów. Krążą jakieś przez wiekowy prawie obieg zreformowane plotki, świadkowie powymierali, został zato tylko okazały akt ślubny. Zajmuje trzy razy tyle miejsca, co akt przeciętnych śmiertelników. Przy pobieżnem wertowaniu księgi odrazu każe się czytać, tyle pod nim podpisów jaśniepańskich.

Zmęczony już byłem wrażeniami i bezmała trzydziestokilometrowym marszem w ciągu tego dnia. W takim stanie leniewiej pracuje mózg, a tymczasem trzeba było ciągle coś zestawiać, coś wyliczać, gdyż coś w aktach nie „sztymowało".

Według metryki urodzenia Sienkiewicza, matka jego w roku 1846 miała lat dwadzieścia osiem; według metryki ślubu, w r. 1843, tylko dwadzieścia trzy. Ze zmęczenia nie mogłem zdecydować, czy to przez kurtuazję pannę młodą odmłodzono, czy też może któryś z „roków" pośrednich miał dwadzieścia cztery misiące; lecz tu zjawiała się nowa przeszkoda: dlaczego lata starego Sienkiewicza się zgadzały? Przy zestawianiu dat okazały się i inne rzeczy niezrozumiałe.

Pierwszy syn Sienkiewiczów urodził się, według aktu, 5 lipca 1844 r. Ślub, według aktu, odbył się 9 czerwca 1844 r. Czyli różnica niecałego miesiąca.

Prawda, że na marginesie r. 1844 jest poprawiony na r. 1843, że pod tem jest cyferka ks. Guttmana, jednak zmęczony i nasycony uprzedzeniem rodziny żony do starego Sienkiewicza, i do tego zrażony jakiemiś sztucznemi odmłodzeniami w aktach, nie potrafiłem zdać sobie sprawy jasno i wyraźnie z tego, co naprawdę zaszło przed laty dziewięćdziesięciu. Po pracowitym dniu nie było ciekawe nawet to, coby seksualnego detektywa przyprawiło o rozkoszne zawroty głowy. Miałem tyle tylko siły, żeby wyrazić zdziwienie, jaki to czasem prześladuje ludzi pech. Że pomyłka o cały rok trafiła właśnie na rodziców Sienkiewicza, to naprawdę pech już specjalnie szczególny.

Ślub Sienkiewiczów był luksusowy. Świadkowie też niebylejacy. Podpisał akt ślubny Prot Lelewel — dziedzic Woli Cygowskiej z przyległościami, i Antoni Nofok — dziedzic Lenarczyc z przyległościami, do tego „b. pułkownik b. wojsk polskich", leżący na okrzejskim cmentarzu pod żelaznym pomnikiem razem z żoną, która była ciotką panny młodej, i Aleksy Dmochowski — dziedzic Burca - Siedlisk z przyległościami, i Józef Muszalski — inżynier komunikacyjny. Ponieważ „zezwolenie ustne obecnej Matki nowozaślubionej było oświadczone", podpisała się i Felicjanna z Rostworowskich Cieciszowska, zdradzając swym zgrabnym i pełnym wdzięku podpisem dużą kulturę i wyrobienie. Blednie przy niej zupełnie ze swym skromnym podpisem „Stefanja z Cieciszowskich Sieńkiewicz Małżonka".

Sprawa małżeństwa Sienkiewiczów nie da się rozwikłać za jednym zamachem. Jeszcze jedna zagadka przybywa do rozwikłania, gdy się zobaczy skromny grób matki Sienkiewicza na okrzejskim cmentarzu. Przy alejce, obok lanego z żelaza monumentu grobowego Nofoków, leży zwyczajna płyta nad zwykłym grobem w ziemi, nawet nie murowanym. Napis aż zastanawiający swym lakonizmem: „Ś. P. Stefanja z Cieciszewskich (!) Sienkiewicz zmarła 1 września 1873 r.".

— Jak pan przypuszcza, dlaczego pochowano ją na cmentarzu, nie pod kościołem, jak wszystkich Cieciszowskich? — pytał mnie ks. Kresa, gdym siedział na gościnnej plebanji okrzejskiej wkrótce po przybyciu do Okrzei.

— Przypuszczam, że związane to jest z pauperyzacją rodu.

— Może i to, ale musi pan wiedzieć, że według ówczesnych pojęć ona popełniła mezaljans.

Różni biografowie Sienkiewicza obszernie się rozpisują o rodzie Cieciszowskich, a nawet Sienkiewiczów, ale co imponuje dziś, nie imponowało wtedy. Stary Sienkiewicz był naznaczony piętnem niezmywalnem: pracował u kogoś i to tak blisko, że wszyscy wiedzieli o jego kondycji. Gdyby był wyżeraczem na czyjejś łasce, byłoby to mniej hańbiące, a tu był sobie człowiek zwyczajnym rządcą! Nie potrzeba chyba mówić, jaki jest stosunek dziedziców do rządców. I do tego wtedy! Słowem, małżeństwo z takim człowiekiem, był to spadek w hierarchji społecznej o parę szczebli wdół.

Cieciszowscy — właściciele wielkiego klucza majątków, szczycący się, że z nich wyszedł metropolita mohylowski — ks. arcybiskup Kazimierz, Kacper Cieciszowski, nie byli rodem arystokratycznym, ale z tego, co robili, widać, że nie zbywało im na bucie horeszkowskiej. I oto gdy po rękę jednej z córek zgłasza się jakiś tam Sienkiewicz, czy nie przepędzonoby go po horeszkowsku, gdyby nie było jakichś ważniejszych powodów? Ale rodzina zapamiętała dobrze „zniewagę" i gdy przyszła pora chować zmarłą w Woli Gułowskiej Sienkiewiczową, skazała ją na banicję na cmentarz...

Na to wskazywałyby wnioski ze znanych faktów.

W ówczesnem mniemaniu popełniła mezaljans; dziś zasługuje na pełny szacunek, bo wychodząc zamąż za jaśniewielmożnego, stałaby się matką jeszcze jednego czcigodnego bęcwała. Tymczasem szaleństwo z r. 1843 stało się faktem dobroczynnym dla literatury polskiej. Nie było słodkie jej życie, spowodu wielkiego w przyszłości syna niejedną przeżyła troskę, dziś więc niechże znane będzie chociaż jej imię.

Jak to dobrze, że czasem kobiety popełniają szaleństwa, w następstwie których rodzą przeciętnemu światu genjuszów!

---

[1]). List Jadwigi Korniłowiczowej z 11. 3. 1931.

Adolf Nowaczyński

Polka w Peru

Znakomity pisarz hiszpański, laureat Nobla, Jacinto Benavente, przestraszony zbyt masowem najściem kobiet w piśmiennictwo (także i w Hiszpanji), powiedział przygodnie na to conto dowcipny aforyzm:

„Jest to fenomen godny pożałowania. Podczas, gdy liczba złych książek stale wzrasta, ilość interesujących kobiet (w literaturze) ciągle maleje".

U nas też już należałoby powiedzieć kilka aforyzmów krytycznych w tej kwestji, a kto wie czy nawet nie byłaby na miejscu ankieta pod wezwaniem: Czy nie za dużo? Czy nie zatamować? Czy nie pora na jakiś **„numerus clausus"?**

Do takich refleksyj można było dojść ostatnio w związku ze sztuką teatralną pani Szelburg - Zarembiny. Przed premjerą robiono tej wysoce uzdolnionej zresztą pisarce ni stąd ni zowąd wcale natrętną reklamę, a usłużne „damskie kawaliery" dawały do poznania, że na repertuar scen warszawskich przychodzi epokowe arcydzieło; szczególnie natarczywie zgrywał się Iksion Nachalnik z Czerwonej Prasy, bawiący się w protektora młodych niewieścich (byle rewolucjonizujących) talentów. Przyszła premjera i okazało się, że to narazie tylko anormalne poronienie i tak zwana dęta brechta ze światoburczymi pretensjami i rozwiązywaniem na kolanie kwestji socjalnej. Zdolnej wierszopisarce wmówili kawiarniani koneserzy, że ona właśnie jest predestynowana do wskazania ludzkości, jaką teraz powinna iść drogą, i że dramat jej wywołać musi wstrząsające społeczeństwem wrażenie. Wydęty balonik pękł, sztuczka padła, autorka rozżalona i rozgoryczona.

Nie trzeba zanadto superlatywami i duserami przekarmiać tych młodych dam piszących. Ani też zbyt znów tragicznie odnosić się do nich, gdy dywagują lub starają się wszelkiemi siłami i środkami epatować czytelników (Krzywicka, Melcer, Szelburg). Wogóle byłoby wskazane raczej na czas jakiś mniej im poświęcać kurtuazyjnej uwagi i uprzywilejowanego zainteresowania, trzymać nieco w odstawce i na lodzie. Zadużo bowiem mają patronów i orędowników i nieco ponad miarę zajmują miejsca w piśmiennictwie, co już grozi literaturze „zbabieniem" i effeminacją. Tyle piszą, tak prędko, tak jaskrawo, a tak przystępnie, że dzielne samce i samczyki już zaczynają głupieć, baranieć, broń składać, ustępować z placu i ugorować.

Dziś doszło do tego, że w żadnem piśmiennictwie europejskiem procent kobiet nie jest tak wielki, jak u nas. Czy tak być winno, niech decydują inni i w i n n i.

Niema atoli reguły bez wyjątku i niema żadnej tezy bez natychmiastowej korektury. Podnosząc skalę kryterjów w wartościowaniu kobiet piszących tu na miejscu, między nami w kraju i faworyzowanych przez kolegów g a l a n t u o m ó w lub podjudzaczy klasowych (Wasserzug), równocześnie powinniśmy jednak z dużą względnością ustosunkować się naprzykład do kobiet - podróżniczek, wojażerek, turystek - odkrywczyń. Dlaczego? Skąd to mu znowu do łba strzeliło? Dlaczego właśnie do podróżniczek? Skąd taki wyjątek, skąd idea? Odpowiedź: Po lekturze książki Marji Bochdan - Niedenthal p. t.:

„U c a y a l i".

Czyli Raj czy Piekło nad Amazonką... Dlatego.

Podróżniczek odważnych, a nawet nieustraszonych, przyczem piszących, dużo teraz błąka się po Bożym świecie, Amerykanek, Angielek, Niemek. Moc kobiecych książek podróżniczych anonsują stale tygodniki paryskie. Wśród Francuzek, których dotychczas, nawiasem mówiąc, nie dopuszczono jeszcze do równouprawnienia, które tam nie mogą ani wybierać, ani być wybranemi do izb parlamentarnych, istnieją wprost fenomeny odwagi cywilnej hazardu i ryzyka podróżniczego.

Taka Ella Maillart, która poprzez Sowiety, przez Kaukaz, Turkiestan, Taszkient dotarła do Buhary, a potem w nieznane centra chińskie, narciarka, a także łodzią samopas po Śródziemnem Morzu....

Taka hrabina d'Andurain, która przeszła na Islam, by dotrzeć do Hedżasu, do Mekki, i tam wyszła za Mahometanina i awanturowała się, aż ją wreszcie wyścigano.

Taka Aleksandra David - Neel śpiewaczka, filozofka, przeszła na buddyzm, żeby poznać dokładnie Tybet, zamieszkać w pustelni w Lhassie i usynowić jednego z Dalay-Lamów („V o g u e d'u n e P a r i s i e n n e a L'h a s s a")...

Są już jednakże i Polki globtroterki i to nawet nieprzeciętne turystki, a ekscentryczne.

Pani Bujakowska wybrała się z mężem motocyklem naokoło świata i obecnie jedzie z nim z Aleppo (Syrja) przez olbrzymią pustynię do Bagdadu...

Kajakiem znowuż jedzie pani Korabiewiczowa naokoło świata... wraz z mężem, i też teraz przepływa obok Syrji...

Ale żadna z tych podróżniczek nie pisze, jak tylko zapewne listy do rodzin i widokówki do znajomków. Natomiast pani Marja z Bochdanów Niedenthal pisze i to wprost doskonale, z męskim rozsądkiem, a z kobiecą werwą. Ułatwiło jej rozpęd i rozmach życiowy to, że pochodzi z Kresów, jako jedna z czterech córek ziemiańskiej wschodnio - małopolskiej rodziny, znanej i we Lwowie. Szczęśliwym trafem wyszła za mąż z miłości za inżyniera Niedenthala i odtąd rzuca nią Los po świecie. Byli w Kanadzie, byli w Rhodezji, a wreszcie znaleźli się w Peru pod Kordyljerami jako pionierzy, montujący tam wysiłkiem kilkunastu ludzi nową polską kolonję w półraju, w półpiekle nad wspaniałą rzeką Ucajali.

O perypetjach i przeżyciach w tej „Montanji" opowiada autorka sposobem pamiętnikarskim, prosto, jasno, barwnie, miejscami porywająco, miejscami wstrząsająco.

Tam w tropikalnem odludziu odziła się tej dzielnej, okazowo rasowej Polce, córeczka. Jak sobie dawali radę, jak walczyli z przyrodą, z dzikiemi zwierzętami, z tubylcami i z.. rodakami, o tem traktuje ta niezwykle ciekawa opowieść. Do strony 138-ej przebywamy w raju (dżunglowym), od strony 138-ej zaczynają się relacje mniej przyjemne o polskiej polityce kolonizacyjnej, o aferach, o niedołęgach, o bałaganie, intrygach, „potępieńczych swarach", o polskiem „komerażnictwie emigranckiem".

Drugą część książki czyta się ze znacznie mniejszą satysfakcją. Ale całość jest bardzo interesująca tak swym „zapachem lokalnym", swym egzotyzmem, kolorystycznością, jak i stwierdzeniem wspaniałej tężyzny lechickiej rasy.

Tym wszystkim, którzy się już setnie znudzili rozmaitego kalibru i fasonu pisarkami lokalnemi, rewolucyjnemi erupcjami i effuzjami nadwiślańskich niewieścich talentów, „reportażami" ze szpitali, przytułków, domów publicznych i kanałów wielkomiejskich, polecamy najgoręcej ten pamiętnik peruwiański. Nie ma tu ani cienia s e x a p e a l i z m u ani w a m p i r y z m u, ani... reformacji seksualnej, ani propagandy komunistycznej, a książka jest jedną z najciekawszych nietylko podróżniczych, ale także i psychologicznych. Daje bowiem psychikę Polki wskroś nowoczesnej, może nawet j u t r z e j s z e j, a jednak takiej, która mogłaby być postawiona jako model, jako wzór, jako ideał.

Stanisław Młodożeniec

Wiater

Fragment z 2-go aktu*)

Rozchodzą się... Julka wolno odchodzi w bok i znika na zakręsie. Stach cofa się do wrótni stodoły, otwiera ją, znika na klepisku, zamykając za sobą wrótnię...

Mocne, coraz bliższe odgłosy Wiatru.

Ciężkim krokiem, jakby spychanym i opornym, zbliża się na scenę LICHOT....

Poprzedza jego zjawienie się olbrzymi cień, ciskany na stodołę i na inne fragmenty sceny.. Ujadają psy...

LICHOT:

Tu kozane
stoć—to stane!
Tu pilnować —
bede strzyg!...

Niech się cisko
na mnie krzyk —
ani krokiem...

Kaj te psiska?
Sły na boki...
Rozbój!... Kusy!...
do mnie tu!...

(Silne natarcie wiatru... LICHOT w oporze przechyla się aż w tył).

Znowu kłusem
runoł wróg...
Jak mnie ciepnoł
w słabość nóg...

Rozbój!... Kusy!
Kaj pociekły?
Tu! Tu! Tu!

Kurtyna opada. Chwila — pauza. Kurtyna idzie w górę.

Na scenie dzień... LICHOT w tem samem miejscu — zmieniony, teraz zwykły, zajęty ludzkiemi sprawami przyrzeczonego wójtostwa i ożenku.

Otwierają się drzwi chałupy — wychodzi KIECOWA z naręczem wypranych szmat. Nie zwraca uwagi na LICHOTA — rozwiesza szmaty na plocie...

LICHOT:

Co un cieśla
nie wychodzi?
Kaj się schowoł?

KIECOWA: (do siebie przymawia)

Oć — sie sprało —
wyciapało —
niechze ze se!...

LICHOT:

To ci złodzij!
A i kowol
mioł tu być...

KIECOWA

Oj — rozwiese...
Wiater wieje —
słonko grzeje —
niechze ze se!

Nad padołem
chaby biołe
ku uciese —
niechze ze se!...

LICHOT:

Ej, Jonowo!
nie widzieli:
sed ku kowol?...

KIECOWA:

Mnie sie bieli —
w ocach mzy...
Widze ino
bioły dym
przed ocamy...

LICHOT:

To my zginoł
psia go mać!

KIECOWA:

Człek — nie kamyk,
zeby zginoł...

LICHOT:

Dołem znać
zeby przyseł...
Pilność je
przymajstrować
• brycce dysel...

KIECOWA:

Niech ze, niech!...
Boze prowadź
z długo jazdo...

LICHOT:

Wicie? Nie? —
Cas sie nazdoł
na wesele...
Na wesele
przysło my!..

KIECOWA:

Y — niewiele,
zeby zbyć...
Drogi — Kawoł!...
Ano dyć
i z przeprawo
lo starego...

LICHOT:

A wom — cego?;...
Kieście ślepi,
jak mnie znać, —
zapowiadom:
milcyć lepi
psia go mać!...
Z tako rado
w takich casach
temu zysk, —
na zowiasach
trzymoj pysk!

KIECOWA:

Toście skory!...

LICHOT:

Jezdem wójt!

KIECOWA:

Klekom przed niem!
Ino niewiad,
jak wybory?
Chto urzednik?

LICHOT:

Wiad cy niewiad,
to jak przysiog:
jezdem — wójt!
Bede dzisioj
psia go mać!

KIECOWA:

Boze pomóz,
kiej trza komu,
jak go stać!

Jak trza komu, —
do zaprzęgu
kunie lic!...

Mnie do tegój —
co i nic...
A niechze se...

(Zabiera się i odchodzi).

LICHOT:

W zło godzine
babi skrzek...
Jak zacyno, —
to ji bek!
Bedzie! Bedzie!

rade dom —
nie pojedzie
u mnie bont!

Chto mo władze,
mo i kij!...
Temu radze:
trzym i bij!...

Mom tu cosik,
mom tu kaś —
niech przenosi
krowy paść...

Co? Ni moge?
Sposób krowi:
przetne droge
synalowi...

Niech po rosie
bierze zajdź,
niech mu nosi
psia jo mać!

To i z cieślo!
Pilność mom
lo wojtowy
stroić dom...

Trza na przykoz!
Jego syn?
Duzo bryka —
mo tam prym....

Moja wola
urzod mój —
na kowola
bedzie ul!
Sołtyso wi —
niech mo znać —
uspokoje
psia ich mać!...

(Zza stodoły wychodzi CIEŚLA z siekierą. Czapkuje nisko Lichotowi).

LICHOT:

Powiedziane: ino świt!
Powiedziane: we dwóch iść!
Co sie znacy taki bont?...

CIEŚLA:

Jo? Co winien, ze jo som...
Bo mówiłem: nosiek weź —
Stachu, wołom, chodź na wieś!
Tu un nikiej wypion zadź...
Uwozcie? — nie chcioł wstać!...

LICHOT:

Na ten przykłod ten was syn?...

CIEŚLA:

No,—widzicie — cem mnie zbył;
Tłomacyłem: LICHOT chce,...
ze poprawiać chcecie dom.
Przekładołem: pilność je —
na wesele idzie jem —...
Ze to wom...

LICHOT:

Niby cóz?

CIEŚLA:

Niby jakze? Jak je mus
i naprzykład baby so, —
naco człowiek, zeby som?
Co samemu iść na bój,
Kiedy sporzy iść we dwój!...

LICHOT:

To i moja była myśl —
i kozołem we dwóch przyjść!...

CIEŚLA:

Jo — wołołem, zeby wstać —
Cóz? Kiej ino wypion zadź...

LICHOT:

Una na mnie...

CIEŚLA:

Co i tyz?...
Tyz wypiena?!...

LICHOT:

Stulić pysk!
Una na mnie ni mo słów —
ale — słuchać! — Stach my psuł,
Stach my wścibio tam swój nos!

Jo nie lubie cyich krost,
cyich skwarków, jak jo jem!...
Tu porzodek trzeba z tem!
Wy mu, mówie...

CIEŚLA:

Jobym wnet...
To dyć, wicie, ni mom sił —
un po nocach my sie gzi!

LICHOT:

Na ten przykłod niby z kiem?

CIEŚLA:

Trzeba słuchać!... Chto nie kiep,
to posłysy jesce wprzód,
kaj co skrzypi, z cyich wrót...
To obocy jesce wcas,
cyje ocy dajo blask...
To zawróci, poki co,
nim go złapie corno noc...

LICHOT:

Niby komu ten — was strach?
Niby naco?!...

CIEŚLA:

...— A dyć tak —
ze sie mówi lo tych słów...

LICHOT:

Na wiatr scekać, jak to psu!...

CIEŚLA:

A dyć w nocy wyły psy —
Som słysołem: był gdzieś krzyk...

LICHOT:

Mom ci pieski — majo spust:
nie przejedzie nicyj wóz.

(Otwarła się wrotnia — wychodzi STACH — mierzą się oczami ze Stachem, który przybliżył się do nich)

LICHOT: (do Stacha)

nie przepusco go przez most...
Trza uwozać na mój głos!
Nie pozwolę w polu ryć...
Trza uwozać, chto chce — być;...

STACH: (do ojca)

Chodźcie, tata, bo tu wrzask...
Lichotowi pepek trzas,
tak sie zdeni...

LICHOT:

Te? Te? Te!...
Zebyś nie pek! Jesce dziś
tobie, smarku, może przyść!...

STACH:

Komu przyńdzie, to i wnet!
Zobocemy, jak chto sed,
jak dochodził, dosed w co...
(do ojca):
Chodźcie do dom!...

CIEŚLA:

A tyz mom!
Temu w głowie strzelił bzik...
Ano — Lichot tyz sie wścik...
Trza za dzieckiem: tu je mus...
Oloboga! — tam — mom guz!
(wychodzą obaj)

LICHOT:

Ludzie!... Ludzie!... To juz bont.
Kaj ten sołtys, zeby wzion?!
Dać jem koze psiach ich mać!
Jo jem w kozie wypne zadź...
Jo ukoze, jak to je...
Jo naucc, jak chto z kiem...

(Wbiega KŁACOK zatytlany w błocie... Wpada na LICHOTA).

LICHOT: (aż się otrząsa)

Tśś!... bezskurcjo — suco nać!

KŁACOK:

Gospodarzu!... Wzionem gnać —
un sie wydar...

LICHOT:

Co za un?

KŁACOK:

Ten zydoski... Jesce zbód...
Nie widzieli: tedy cik?

LICHOT:

A, zorazo — bodaj ci!...
To ty nie wis, z kiem ty mos?!
Ty na wójta łozies wprost?!
Urzod, durniu, kleknij, ćcij!

KŁACOK: (przyklęka)

O mój Jezu.. wierze w kij...
Zmówie pocirz...

LICHOT:

Wstaj już, wstaj!
Tak pod władzo winien kraj
na kolanach chodzić truś...
Łeb do góry?—gnij i zduś!...
(do Kłacoka)
Ty? — pokore z Bogaś wzion,
bedzies zato w niebie pon...

KŁACOK:

To nie bedo w niebie SRUL?...

LICHOT:

Cicho, smarku!.. morde stul!...

KŁACOK: (z uciechą)

Co? nie trafio tam mój pon?...

LICHOT:

Milcoj, smarku — widzis go!
Won za bykiem! Abo? — no! —
po sołtysa leć w ten mig,
zeby sie tu wreście zwlik...

KŁACOK:

Jo polece... ino... ze —
patrzcie, kaj ten ciołuś je...
(wybiega)

LICHOT:

Trza nauki!... Oj, jak trza
wszystkich ucyć, póki cas...
Zaprowadzić do tych skół, —
naucyciel zeby cuł:
kaj co piscy w trowie, złe —
po ojcowsku — urwać łeb!
Naucyciel? — ze mnie un
cało modrość, zeby cuł!...
Zdrowe ziarna ino sioć!
Ziarna—lo nos! Lo nich—kłoć!
Trza tu trzymać ciogle świat
i uwozać: wieje Wiatr!...
(Wchodzi JULKA—pewna, śmiała)

LICHOT:

I nie darmo jo tu stoł —
zaleciałeś do mnie — ptok!
Za cekanie je nagroda...

JULKA:

Ptoki leco, kaj jem los...

LICHOT:

Ptoki cujo, kaj jem skoda —
na gotowe leco wprost...

JULKA:

Jak ta chtóren fruwać nie wi
i pod Wiater pióra drze,
to opadnie kaj na drzewie —
i na próchnie siodzie ten...

LICHOT:

Ty za Wiatrem?

JULKA:

Chybsy lot...

LICHOT:

Chybsy kuniec! —chciałaś rzyć...

JULKA:

Ano niechtam — to wom nic!

LICHOT:

I ty myślis, ze jo dziod?
Boze mocny — tu—w ty piersi —
Chto odgadnie, co tu sił?
(zbliża się od niej)
Wis? Chowałem ci ten pierściń...
Patrz, jak ogniem błysko, lśni!...
Weź na palec! Weź! No — włóz!

JULKA:

Ciście w wode — bedzie plusk.
Ciście w ogień — bedzie blask!

LICHOT:

Mocny Boze — mom na głowie —
Wis? pokoje ci wystroje —
dom od drogi wielgi gon...
Niechby ludziom w ślipie łaz —
niechby, widzis,—ty za śkłamy—
patrzo ślipie z wszystkich stron...

JULKA:

I ciskajo kaminiamy...
Jo sie boje i uciekom...
Jo zaś nato — ani dbom!
(chce odejść)

LICHOT:

Pockoj, Julciu — słys! zacekoj!
Mówio: wdowiec! — alem—cyz!
Krzepki wdowiec—nie jałowiec—
razem w gnioździe mozno tyz...
Ptok — ptokowi...

JULKA: (chce biec)

Ucik w las!

LICHOT:

A jo ptoka chap za pas!

JULKA:

Puśćcie!

LICHOT:

Trzymom!

JULKA:

Puśćcie!

LICHOT:

Nie!
I nie pusce — słowo dej!
Dos my słowo... Ojciec dali
i jo, słysys—z niem nolegom..

JULKA.

Puście, człeku! Cowy? Cego?
(szarpie się)
puść, człowieku. i nie salij!

LICHOT:

Dos my słowo... Patrz — korole!
Widzis? Cieskie— to ich weź!
I do twoi bedo woli —
puńdzie zazdrość z cało wieś...
I nie bedo juz nicyje...
Widzis? Zawieś! Wez na syje...
Tako cerwień — sama krew!
Patrz: na syi krew ta wre...
Ty kalina — weź i załóz!
Weź od cyza — jozem cyz...
Na zodatek bedzie — całus —
to od ciebie bedzie...

JULKA (wyrwała się i wymierzając policzek)

W pysk!

(Wolno odchodzi).

LICHOT:

O! O! O! — Mocny Boze!
Jo ci jesce — bedzies ty!
Jo cie złapie — jo pokazo —
Jo — urzednik... Jaki wstyd!
(rozgląda się dokoła)
Cy tu aby chto nie widzioł?

ŚMIECH (Wychodzi zza ganku):
Móg ta słysyć, chto ma słuch...

LICHOT:

Patrzcieno go! ten tu bidziuch!...
To za duzo tu nos dwuch...
(Słychać głosy i kroki)

ŚMIECH:

Bedzie wiecy — we wsi ruch...

(Idą: Sołtys — łysy BINCOK— z dużym papierem w ręku. Pobok niego z jednej strony SRUL, z drugiej KŁACOK.

Styłu Sołtyska — tęga baba— łapie chłopa za poły kapoty.

Za nią: PASIOCHA, KALITA, KŁAK, CHŁOPY, baby — naród. LICHOT zyga okiem na ŚMIECHA — to na gromadę. Nikiej zawstydzony cofa się w bok.

Za nim wybiega SRUL — trzymając się dłuższy czas razem.

SRUL poszeptuje do ucha — żywe gestykulacje).

*) Fragment niniejszy stanowi wyjątek z dramatu w trzech aktach z prologiem, świeżo ukończonego przez Stanisława Młodożeńca. Ilustrację muzyczną do „Wiatru" komponuje Jan Maklakiewicz.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

ŁUKJANOW M.: Kraina perkalików. Kronika historyczna. Przekład Janiny Tołwińskiej. 8° str. 298. Warszawa 1934. Księgarnia Tom. Zł. 5.50.

MIKLASZEWSKI LEON: Krawiectwo w teorji i praktyce. Podręcznik do użytku uczniów szkoły zawodowej oraz zawodwców. 8° str. 68. Poznań 1934. Księg. Św. Wojciecha. Zł. 2.50.

MIŁKOWSKI ST.: Agraryzm jako forma przebudowy ustroju społecznego, z przedmową St. Thugutta. 8° str. 86. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.20.

MOKRZECKI Z. prof.: Klucz do oznaczania chorób i szkodników tytoniu, występujących w plantacjach w Polsce. 8° str. 63. Warszawa 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 1.50.

MORSTIN L. H.: Rzeczpospolita poetów. Komedja satyryczna w 3 akt. 8° str. 141. Kraków 1934. K. S. Krzyżanowski. Zł. 3.—.

POLESZCZUK M.: Właściwa droga wsi do dobrobytu. 8° str. 79. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.—.

RAPACKI J. J.: Sztandar. Romans wojenny. 8° str. 128. Warszawa 1934. S. Cukrowski. Zł. 3.—.

RIENDEL H.: Życie z wiary, jego istota, postęp, pociechy, próby, owoce. Przeł. C. Piotrowska. 8° str. 371. Kraków 1934. Wyd. Księży Jezuitów. Zł. 3.—.

RZEPECKI J. mjr.: Kompanja i pluton w polu. Taktyka małych oddziałów piechoty. Wyd. 2-gie poprawione. 8° str. XIII i 360. Warszawa 1934. Główn. Księg. Wojskowa. Zł. 7.—.

ROBOT A.: Wyścig pracy. Powieść współczesna. 8° str. 167. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 4.50.

STEINOWA BR.: Święta sługa. Opowieść z XIII w. 8° str. 310. Kraków 1933. Wyd. Ks. Jezuitów. Zł. 2.60.

Spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Kodeks handlowy, art. 158—306, 491 — 497. Komentarz opracowali **J. TOMKIEWICZ i J. BLOCH.** 8° str. XII i 322. Warszawa 1934. F. Hösick. Zł. 8.—.

TOMANEK FR. Dr.: Handel towarowy i pieniężny, jego organizacja i technika. Wyd. 6-te zmienione przy współpracy E. Ehrlicha. 8° str. 366. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 5.—

WORTMAN JAN: Sofizmat na usługach absurdu. Secesyjne prądy w nauce. 8° str. 64. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.80.

ZYLBER W.: Wynagrodzenie szkód, spowodowanych przez działalność władz publicznych, według prawa polskiego. Odpowiedzialność cywilna władz i urzędników publicznych. 8° str. VII, 139. Warszawa 1934. F. Hösick. Zł. 5.00.

WISŁOCKI A.: Przez jeziora i rzeki Brasławszczyzny. Reportaż z kajakowej włóczęgi z fotogr. 8° str. 172. Warszawa 1934. Gł. Księgarnia Wojskowa. Zł. 5.—.

W najbliższych numerach „ABC literacko-artystycznego" ukażą się następujące utwory i artykuły: Adolfa Nowaczyńskiego „Z pamiętników tramwajnika", Miłosza Gembarzewskiego fragment dramatu „Wilanów", Marjana Reutta „Mit XX-go wieku", Bronisława Komierowskiego „Ja wyzwolone", Stanisława Piaseckiego „Wspomnienia szlacheckie" i in.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Dom i klub

— ...i wyobraźcie sobie, państwo, udzielają mi głosu, a ja nie mam pojęcia, o czemby tu mówić. No, i oczywiście, wobec tego wygłosiłem referat — „O potrzebie organizowania się".

— Czy pan rzeczywiście wierzy w bezwzględną wartość organizowania się?

— Oczywiście. Przecież im więcej społeczeństwo ma łączących je więzów, im więcej związków i organizacyj, tem społeczeństwo to jest silniejsze i wyżej stojące, tem spoistsze i bardziej cywilizowane.

— Ale czy pan nie myślał nigdy, że istnieją pewne związki społeczne, pewne organizowanie się, które więcej dezorganizuje, niż organizuje?

— Owszem, pan mówi oczywiście o wszelkich związkach nastawionych negatywnie, powiedzmy ogólnie w łagodnem tego słowa znaczeniu — wywrotowych.

— Nie. Nie rozumie mnie pan. Związek negatywny nawet, czy także ogólnie określając wywrotowy, może być pożyteczny i to bardzo, zależnie od tego, co chce zniszczyć — naprzykład, związek przeciwgruźliczy. Ale przeciwnie wprost, są formy zrzeszania się, uchodzące za bardzo konstruktywne i jak pan to mówi, zwiększające ilość więzi, łączących społeczeństwo, które są w gruncie rzeczy nietylko niepożyteczne, ale wprost szkodliwe i rozkładowe.

— Naprzykład?

— Wszelkie prawie zrzeszenia towarzyskie, związki mające za treść życie towarzyskie zrzeszonych, wszystko to, ci możnaby nazwać mianem klubu, ponieważ klub jest ich najcharakterystyczniejszą formą.

— To znaczy, pan wskazuje na zbędność wszelkich bridge-club'ów i tego typu towarzystw.

— Nietylko. Wskazuję na szkodliwość znacznie szerzej pojętych klubów, nawet resurs, nawet korporacyj akademickich, jeżeli głównym i dominującym składnikiem ich działalności jest życie towarzyskie, a nie ideologja czy powiedzmy nawet wprost — polityka. Wszelki związek, którego założeniem, albo całą praktyczną treścią bytu jest życie towarzyskie członków, stanowi element destrukcyjny w społeczeństwie.

— Pan daruje, ale to niema żadnego uzasadnienia. Związek towarzyski wytwarza środowisko, tem samem rozwija kulturę, podnosi człowieka...

— Wprost naodwrót — jest szkodliwy. Zróbmy pobieżny bilans. Co daje klub człowiekowi? Rozrywki towarzyskie, znajomości, asymilację do innych. Co mu zabiera? Rodzinę. Tu jest punkt zasadniczy sprawy. Co jest lepsze — czy żeby człowiek nietylko jadł, spał i pracował w domu, w kręgu rodzinnym, czy żeby się tam także bawił? Każdy, kto stoi na stanowisku narodowem, kto dąży do silnej rodziny, jako podstawy narodu, musi odpowiedzieć na to ostatnie pozytywnie.

— Ależ życie rodzinne, nawet towarzyskie życie rodzinne nie wyklucza się wzajem z życiem klubowem, przeciwnie życie klubowe rozszerza krąg towarzyski.

— Otóż właśnie, że się wyklucza, jak wykazuje praktyka. Dziś każdy woli iść na dancing, czy do klubu, jak przyjąć kogoś w domu.

— Ciężkie czasy...

— Wcale nie ciężkie czasy. Finansowo, w ostatecznym rezultacie klub się kalkuluje drożej. Przecież dziś można każdego podjąć bez snobizmu, naprawdę tanio. To nie ubóstwo, lecz lenistwo. W rodzinie, w której wszyscy dorośli członkowie pracują poza domem cały dzień, żadnemu z nich się już nie chce stwarzać w domu życia kulturalnego. Wolą nabyć gotowe i spreparowane życie kulturalne poza domem. I to właśnie osłabia, a nie wzmacnia zasadnicze związki społeczne, to cofa kulturę.

— Co pan opowiada? Najkulturalniejszy bodaj kraj w Europie — Anglja opiera się wprost, jeżeli tak można się wyrazić, na życiu klubowem.

— Świetny przykład pan wybrał. Anglja i Ameryka to kraje, w których najsilniejsza jest masonerja, najbardziej wypaczona struktura społeczna, najbardziej rozłożona w młodszem pokoleniu rodzina i największa ilość klubów. Klub nie jest objawem wtórnym rozkładu społecznego, ale jedną z jego przyczyn. Klub został stworzony przez rozkładowe związki wolnomularskie przed dwustu, powiedzmy, laty właśnie dla rozbicia rodziny i starych związków społecznych. Od klubu towarzyskiego do komuny droga długa, ale dosyć prosta.

— Więc uzdrowienie stosunków widziałby pan w czem? Czy w powrocie instytucji tak zwanego salonu?

— Wprost przeciwnie! Salon był ojcem klubu, to znaczy salon kapitalistyczny, salon siedemnastego, czy ośmnastego wieku. Był to klub w prywatnym lokalu. Jego założeniem było też fałszywe masońskie hasło doskonalenia się, a nie szczera chęć rozrywki. Ja widzę drogę do uzdrowienia stosunków zupełnie inną. Trzeba stworzyć taki ustrój społeczno-gospodarczy, którýby pozwalał każdemu, bez względu na stopień zamożności, utrzymywać stosunki kulturalne na poziomie swoich potrzeb. Nie potrzeba salonów. Stwórzmy tylko warunki i atmosferę, w których każdy co jakiś czas będzie mógł i zechce w jakimś pokoju przyjąć kółko przyjaciół.

— Więc precz z wszelkiem życiem towarzyskiem poza domem?

— Niekoniecznie. Jeżeli życie towarzyskie jest dodatkiem do jakiejś działalności zbiorowej rzeczywistej — w związku lekarzy, kółku bibljofilów czy stowarzyszeniu św. Wincentego à Paulo, to jest ono pożyteczne, a przynajmniej nieszkodliwe. Taksamo w klubie politycznym, czy kółku łowieckiem, czy jakiejś czysto męskiej instytucji. Szkodliwe jest życie towarzyskie jako cel istotny zrzeszania się. Niech mnie pan zrozumie: chcę byśmy raz skończyli z przesądem, że ilość organizacyj stanowi o stopniu kultury, podczas gdy w rzeczywistości stanowi o tem ich jakość.

Z dżungli reklamy filmowej

Ruchoma dziurka wdzięku

„...W głębi dziewiczej puszczy [żyły małpie stada
Bezpieczne od napaści drapież- [nego gada
Szczęśliwe za jasnego dnia, [spokojne w nocy
Wkoło miały obfitość soczystych [owocy,
Których na każdem drzewie peł- [no było w gaju
Małpy w tym cudnym kraju [mieszkały jak w raju...
(...Gromadka niezbyt mądra,
. . . .
[choć bardzo „uczona",
Która niedawno jeszcze ssała... [cycerona..."

(J. Ejsmond — „Ptasie mleko").

W ciężkich, kryzysowych czasach dzisiejszych, pragnąc zapomnieć o kłopotach i troskach codziennych, ludzie tęsknią wprost do wytchnienia w atmosferze wesołości i beztroski. Konjuktura dla pism humorystycznych zdawałaby się wymarzona. Jeśli więc, pomimo to, jedno za drugiem pismo humorystyczne upada — to chyba istnieje dla nich jakaś groźna konkurencja. Otóż mam wrażenie, że ową bezwiedną konkurencję stanowią przedewszystkiem drukowane w prasie wzmianki i notatki t. zw. reklamy filmowej. Są one czemś tak bezprzykładnem, że rozweselić potrafią najczarniejszego melancholika, a pod względem mimowolnego humoru, biją o sto długości utwory poetyckie samego Andrzeja Własta.

Wystarczy przeczytać kilka przytoczonych poniżej urywków, aby przekonać się o tem dowodnie. Kim są autorzy tych niebywałych wypocin, noszący szumne tytuły „szefów reklamy i propagandy"? Rekrutują się chyba z „...głębi dziewiczej puszczy" Ejsmonda. Panowie ci, korzystając z tego, że nikt ich nie koryguje zabrnęli już tak daleko w dziedzinie wypisywania na cierpliwym papierze wszelkich bredni, że dalej chyba nie można. Istnieje u nas sroga cenzura filmowa; czy nie byłby już najwyższy czas na wprowadzenie cenzury tych reklamowych komunikatów filmowych, wołających o pomstę do nieba?

Komunikaty reklamowe roją się przedewszystkiem od superlatywów. Nie należy się dziwić, gdy się przeczyta, że film „Zaledwie wczoraj" to **„klejnot który mieni się wszelkiemi blaskami wartościowości"***), bo jak słusznie powiada tenże komunikat **„pewnym pismom braknie wprost słów zachwytu"** jako że **„osnowę tego prawdziwie wartościowego filmu stanowi mistrzowsko ujęty konflikt życiowy, traktujący o miłości dwóch jestestw, rozłączonych fatalnem zrządzeniem losu"**.

Z tegoż samego źródła możemy się dowiedzieć, że **„Franciszka Gaal jest kobietą o walorach cukierka"**, która **„potrafi swej twarzyczce nadać szereg zmiennych oblicz i to zawsze miłych, przesiągniętych upojną rajską słodyczą"**.

Jeśli wierzyć komunikatom, to Paul Lukas **„jest zwolennikiem haremów. Marzeniem jego jest mieć 5 żon, w tem: brunetkę, szatynkę, rudowłosą, ciemno - blondynkę i platynową blondynkę. Stosownie do pogód i wogóle...** (Sic).

Tenże „Paweł Lukas często **otacza się rojem kobiet. Rzadko można go spotkać z kolegą-mężczyzną.** W Hollywood mówią o nim, że czuje wstręt do własnej płci". Proszę więc sobie wyobrazić z jaką radością przyjął Lukas rolę w filmie „Afera dżentelmana", w którym to filmie partneruje mu aż... 7 kobiet. W omawianym filmie gra Lukas słynnego nowelistę Greshama, napastowanego uczuciami zakochanych kobiet.

Jeśli wierzyć szefowi reklamy, to Paul Lukas ma wybitne skłonności do poligamji, bo miał oświadczyć podobno: **„Chętnie je wszystkie poślubiłbym, gdyby na przeszkodzie do zrealizowania tego dobrodziejstwa nie stała kultura i prawo, które to, co ja uważam za miłe i pożądane, nawa zakazanem"**.

Nic też dziwnego, że gdy w filmie „Miraże szczęścia" zakochała się w nim Konstancja Cummings, która (o zgrozo!) **„nurza się cała w odmęcie wyuzdania i grzechu"** i gdy Lukas **„poświęcił dla niej kwiat swych zdolności twórczych"**, to ona - biedaczka **„ma z nim dziecko"**.

O nowej gwiazdeczce amerykańskiej Jane Knight, dowiadujemy się nie mniej rewelacyjnych rzeczy. Między innemi, że **„w młodości była chorowitem dzieckiem"**, więc dlatego prawdopodobnie **„każdego dnia na czczo zjada jedną czwartą kg. czekolady gdyż uważa, że inaczej może stać się coś złego!" „June Knight liczy metr 43 cm. wzrostu, waży 110 funtów. Oczy ma niebieskie z szarym odcieniem. Gdy jest zła lub zdenerwowana, wydają się one być zielone. Włosy blond ma ją w sobie coś z rudości. Zaczęła jako zwykła tancerka. Po pierwszem przedstawieniu szalał za nią cały Brodway"**.

Ta „trzpiotowata piękność, nowe, rewelacyjne objawienie ekranu" — ma **„najładniejsze nogi w Hollywood". „Wielu czytelnikom nasunie się pewno pytanie: Czy to możliwe? A gdzie Greta, Marlena, Joan Crawford czy Norma Shearer? Chyba to trick reklamowy? — Rzeczywistość jednak jest prawdziwa!"**.

Bardzo słusznie — rzeczywistość zwykle bywa prawdziwa.

„Powodzenie nóżąt nowej gwiazdy ma zresztą liczne precedensy w jej karjerze. Kształtnym układem swych strzelistych, rzadko pięknych nóżąt, zwraca na się uwagę nawet w pośród pięćdziesiątki girlsów". „O popularności jej może chociażby poświadczyć fakt, wynajdywania przez dziennikarzy coraz to nowych danych i szczegółów".

Tak więc dowiadujemy się, że **„najbardziej pasjonują publiczność amerykańską pieprzyki boskiej June. Ma ich cztery. Pierwszy na plecach, drugi na lewym policzku, trzeci na szyi, a czwarty...? June nie chce nikomu wyjaśnić jego położenia. Nie mając innej rady, wielbiciele June gubią się w domysłach. Liczni widzowie próbują podczas wyświetlania filmu wyjaśnić tajemnicę czwartego pieprzyka"**.

Nie dość na tem — „rewelacyjna" June Knight **„ma dziurkę wdzięku na prawym policzku. Śmiejąc się, potrafi ją przerzucić na stronę lewą. June Knight chwali się powszechnie ruchliwą dziurką, nadającą jej urodzie specyficzne piękno"**.

Doprawdy, niezwykła kobieta! Po takiem oświadczeniu nie dziwimy się już wcale, gdy czytamy dalej, że „w New Yorku **powstał niedawno klub złotej młodzieży pod wezwaniem: — Dajcie nam June Knight i blask księżyca!...** Summa summarum — to zdanie Yankesów o June Knight: **„June Knight ma piękne nogi, cudownie tańczy... Gdzie do niej innym gwiazdom, June Knight odznacza się upojnym, melodyjnym głosem, June Knight jest taka słodka, ona tak „bierze" widza"**.

Rzeczywiście June Knight „bierze widza", ale czytelnika tych komunikatów reklamowych bierze przedewszystkiem cholera.

Sandacz...

*) Wszystkie cytaty z „Nowin Universalu", komunikatu reklamowego rozsyłanego do wszystkich pism stołecznych.

Jan Korolec

Sztuka i rewolucja duchowa

Ostatni numer wychodzącego w Paryżu czasopisma młodych „Esprit" pod redakcją Emanuela Mounier poświęcony jest w całości zagadnieniu sztuki na tle dokonywującej się obecnie w Europie rewolucji umysłowej. Na treść tego numeru składa się szereg artykułów poświęconych poszczególnym gałęziom sztuki, artykuły zaś te poprzedza wstęp, poświęcony problemowi przewrotu w sztuce, a będący wyznaniem wiary szeregu młodych, podpisanych pod nim artystów francuskich.

ŚWIAT PIENIĄDZA JEST WROGIEM SZTUKI

„Obok sytuacji proletarjusza świat współczesny nie zna gorszej sytuacji, niż jest sytuacja współczesnego artysty. Świat bowiem współczesny odrzuca bezrobotnego, jako odpadek mechanizacji jego ciała, świat współczesny odrzuca artystę, jako odpadek mechanizacji jego duszy. Artysta zaś ze swojej strony zbyt długo uważał za możliwe bez wewnętrznej sprzeczności i bez szkody dla samego siebie grać podwójną rolę: oddawać swoją sztukę na usługi świata pieniędzy i klas posiadających, z drugiej zaś strony domagać się całkowitej swobody w imię filozofji oficjalnej, który mu tenże świat ofiarowywał: indywidualizmu". Obecnie artysta zaczyna rozumieć niebezpieczeństwo. „Wartości kapitalistyczne, zdobywając publiczność, zabijają jednocześnie warunki istnienia i zainteresowanie życiem artystycznem. Celem człowieka jest nieużyteczność, ale Bóg wartość o wiele większa od użyteczności". Obecnie jednak „nędza gospodarcza przygniata większość ludzi pożądaniem chleba i dachu nad głową. Pościg za zyskiem odurza innych szaleństwem bogacenia się. Podwójna tyranja nędzy i bogactwa, gdzie „jedno i drugie niszczy w duszy ludzkiej wszystkie większe wartości". „Świat pieniądza jest podwójnie wrogi sztuce: niszczy i zniechęca artystę, wyjaławia i odstręcza publiczność. Ten, kto pozostaje wierny sztuce, jest z konieczności skazany na nędzę i samotność".

Niektórzy to zrozumieli, ale ograniczyli się tylko do wyciągnięcia wszystkch konsekwencyj negatywnych. „Inni nietylko zrozumieli, ale probowali organizować tę rewolucję. Ale ci wyrwali artystę z jednej newoli, by rzucić go w drugą. Misją artysty jest całkowita swoboda od wszelkiej tyranji zewnętrznej, oni chcą go podporządkowawać nie nowej wizji świata w dyscyplinie wewnętrznej, co byłoby słuszne, ale formułkom politycznym i hasłom partyjnym". „My również myślimy, że artysta może uratować swą sztukę tylko przez całkowite zerwane ze światem pieniądza i jego sztuką. Ale on musi sobie całkowicie zdać sprawę ze zniszczeń, jakie ten świat wywołał. W drodze przymusu i na skutek mody, płynącej z góry, świat pieniądza uczynił masy ludowe obcemi sztuce, upowszechnił on gust drobnomieszczański i wpoił całkowitą ignorancję w zakresie sztuki. Podporządkować sztukę przed odbudowaniem społeczeństwa sądom mas, to znaczy podporządkować sztukę nie temu, co się w masach uwielba, ale tym refieksom, jake burżuazja w masy ludowe wpoiły". Albo co gorsze, to podporządkowanie sztuki interesom partji, które chcą reprentować interesy polityczne tych mas. „Nie tworzy się sztuki dla proletarjatu i rewolucji, jak nie powinno się tworzyć sztuki dla burżuazji. Sztukę tworzy się dla człowieka". „Jeśli w pewnym momencie historycznym nie można być człowiekiem i nie być rewolucjonistą, nie zrywając z klasą, która dusi człowieka, nie stając po stronie nędzy, nie szukając w głębokich pokładach duszy ludowej, tam, gdzie ona jest jeszcze zdrowa, prostotę, siłę, bogactwo, jakie dusza ludu zawiera, wtedy artysta winien zająć pozycję człowieka, który w każdym momencie jest sobą". „Wydaje się, że dziś artysta jest skazany na służbę niewolniczą, czasami jeszcze owocną dziesiejszemu ustrojowi, albo na osamotnienie i śmierć, co jest losem artysty niezależnego, albo na niewolę, sprzeczną z wolnością sztuki, niewolę, którą przynoszą marksistowskie organizacje rewolucyjne".

ODBUDOWA JEDNOSTKI W SPOŁECZEŃSTWIE

Sztuka, będąca dziełem jednostki, z reguły rozwijać się może jedynie na tle zorganizowanej i reagującej na twórczość artysty społeczności ludzkiej. „Praca celem zbudowania takiej społeczności, obrona jej od egoizmu i indywidualizmu to praca dla sztuki. Praca nad wykształceniem indywidualności ludzkiej, wykraczającej poza granicę jednostki, skrępowanej ciasnotą i nędzą jej własnych instynktów, aby wszystke siły, drzemiące w człowieku znalazły swój wyraz w sztuce... to pracować dla sztuki.

Dopóki artysta będzie odmawiał albo mu się nie pozwoli iść ciągle naprzód do głębokiej jedności jego osoby poprzez ciężkie prawdy i konieczne ofiary, ale bez przymusu zewnętrznego, dopóki artysta będzie chciał lub go się zmusi do uważania siebie za jedynego człowieka na świecie, do odrzucenia prawdy, że będzie on uratowany w tym momencie, gdy swemi własnemi słowami potrafi swobodnie wyśpiewać pieśń odnalezionego społeczeństwa, dopóty upadek, z którym walczymy, będzie postępował coraz dalej.

PODSTAWY ZJEDNOCZENIA WSPÓLNA WALKA ZE ŚWIATEM PIENIĄDZA.

„W ten sposób zaczynają się zarysowywać wytyczne i granice koniecznego porozumienia. Ono winno się dokonać, jeśli chodzi o sztukę, naokoło jednego dogmatu pozaestetycznego, religijnego, politycznego, społecznego lub gospodarczego. Nie jest również pożądanem, ani zgodnem z naszemi celami stworzenie specjalnej gramatyki estetycznej, nowej szkoły.

„My nie możemy jednak pod pretekstem całkowitej swobody zjednoczyć w nieładzie wszystkich, dla których sztuka nie powinna być wyrazem haseł zewnętrznych. Gdy człowiek jest w niewoli, sztuka nie może być wolna. Człowiek zaś dzisiejszy jest w podwójnej niewoli, w niewoli dzisiejszego ustroju i jego wewnętrznej anarchji. Artyści, do których my apelujemy, będą połączeni węzłami wspólnej walki ze światem pieniądza i indywidualizmu"... „My oznajmiamy o swej decyzji pracowania ze wszystkich naszych sił nad znalezieniem dróg do takiego społeczeństwa, któreby było harmonijnem współdziałaniem jednostek i pragniemy ze wszystkich naszych sił powrotu wielkiej epoki, w której artysta miałby inny przedmiot twórczości, inne otoczenie, niż swą samotność i drobne przeżycia obcych mu najbliższych sąsiadów, ale mógł pełną piersią oddychać głębokiemi powiewami, pochodzącemi ze wszystkich części świata".

PROBLEM WINIEN BYĆ ROZWIĄZANY MIĘDZY ARTYSTĄ I PUBLICZNOŚCIĄ.

„Co temu stoi na przeszkodzie? Wszyscy będą oskarżać obok obniżenia się poziomu umysłowego, również warunki stworzone dla artystów i sztuki przez nowoczesny świat pieniądza. Popiera on i płaci jedynie za produktywność". „My na jego miejsce musimy postawić świat, który... uznaje artystę, a biorąc szerzej wartości kontemplacyjne i bezinteresowne". Uciekanie się do pomocy państwa nie rozwiąże sytuacji. „Nam się wydaje, że opieka, pochodząca z góry będzie dla artysty groźbą dla jego sztuki i że problem winien być rozwiązany bezpośrednio między artystą i jego publicznością. Wtedy cały problem sprowadzi się do wychowania i zorganizowania publiczności artystycznej. Trzeba jej najpierw dać gust, następnie środki materjalne, umożliwiające zainteresowanie się światem poetyckim".

W OCZEKIWANIU NOWEGO GOŚCIA.

„Zdajemy sobie sprawę z wartości odezw. Tylko dzieła będą naszemi dowodami i naszemi argumentami. Tymczasem jednak gdy się przekształca będącą w zupełnym chaosie mapę umysłową, mogą odezwy złączyć wysiłki jednostkowe, wzmocnić odwagę, dać orjentację w anarchji, stworzyć podatny grunt dla powstania genjusza. Od tej chwili... będzie można wykonać obowiązki negatywne, negatywne w tym stopniu, co zoranie nieuprawionej ziemi, zniszczenie ruder, obalenie wszystkiego do podstaw przed rozpoczęciem wielkich prac". „Trzeba będzie zaprowadzić trochę ładu w domu sztuki".

Podobno...

Podobno, jak wiele innych czasopism, idących śladem „A B C", także i „Monitor Polski" wprowadzić ma w najbliższym czasie na swoje łamy kolumnę satyry. Podobno zwrócono się już do aktorki z T. K. K. T., pani Marji Balcerkiewiczówny, z propozycją objęcia redakcji tego działu.

S A T Y R A

Zygmunt Jurkowski

Feljeton pijacki

Człowiek-fabryka

Niedawno w pewnym sklepie z przyborami naukowemi, zaciekawił mnie kolorowy rysunek wyobrażający dość osobliwie przekrój człowieka. Wnętrze organizmu ludzkiego przedstawiało olbrzymią fabrykę o dużej ilości pięter i kondygnacyj, pełną najrozmaitszych urządzeń i maszyn obsługiwanych przez małych człowieczków. Przypominało to w pewnym stopniu. przekroje transatlantyków, jakie się często widuje w witrynach biur okrętowych z tą jednak różnicą, że budowla człowiecza wznosiła się pionowo. Wsparte na żel - betonowym szkielecie, piętrzyły się jedne ponad drugiemi liczne wydziały tajemniczej fabryki.

Na najwyższem piętrze znajdowała się „Dyrekcja naczelna" (mózg) wraz z całym kompleksem poszczególnych biur. Mieściły się tam bibljoteki, archiwa fotograficzne, centrala telefonów, kartoteki pamięci, wydziały bujnej wyobraźni, marzeń, przyzwyczajeń, nałogów i wiele innych. Pełno tam było urzędników, projektodawców, scenarzystów i pokątnych doradców, ruchliwych i dobrze zorganizowanych. Poniżej ulokowała się wytwórnia filmowa (wzrok), produkująca barwne filmy (Szczepanika) o treści życia codziennego. Obok mieściła się odbiorcza aparatura dźwiękowa klangfilm (słuch), dalej nadawcza (głos), zaopatrzona w najnowsze głośniki.

Na niższych piętrach zostały rozlokowane: magazyn główny wraz z przetwórnią chemiczną (żołądek), pompa ssąco - tłocząca (serce), 75 uderzeń na minutę, dalej olejarnie (wątroba), elewatory (kiszki), filtry (nerki) i wkońcu zakłady asenizacyjne.

Całość zaopatrzona w najnowsze urządzenia techniczne, została przepleciona gęstą siecią telegrafów (nerwy) i dokładnie skanalizowana (arterje).

Olbrzymia ta fabryka, która, jak widzimy wygląda od wewnątrz bardzo interesująco, zewnątrz przedstawia poprostu jakiegoś faceta w binoklach, albo gadatliwą paniusię z Małej Ziemiańskiej.

Przykre rozczarowanie.

Tyle inwestycyj, instalacyj i wszystko na nic. Spróbujmy się przyjrzeć tej „fabryce" wówczas, gdy wszystkie maszyny są w ruchu. Najlepiej wybrać do tego sobotę wieczór, kiedy organizm udaje się na kolację.

Godzina 10 wieczorem. Człowiek - fabryka sunie na wysokich żel - betonowych nogach, nie mogąc się zdecydować, do której wejść knajpy. W tej chwili pracuje intensywnie wydział pamięci. Napływają meldunki i ostrzeżenia.

— Do tego baru nie warto, bo dają podły surowiec, pamięta pan, jak się pan struł w zeszłą sobotę?! Radzimy szukać dalej.

— Tu drogo — meldują pokątni doradcy.

— Lepiej do tamtejszego baru, tam gra muzyczka — dopominają się aparatury podsłuchowe.

Wreszcie „fabryka" weszła.

Sfilmowała wnętrze metodą „Szczepanika", przyczem na wywołanej taśmie stwierdzono obecność paru znajomych.

— Tu zostaniemy — zarządziła dyrekcja naczelna.

Puszczono w ruch aparaturę dźwiękową.

— Jak się masz! Co słychać, Antoni? — zahuczały głośniki (dopiero teraz wyszło na jaw, że fabryka nazywa się „Antoni").

— Ano nic, wszystko postaremu — odpowiedziano systemem „Western Electric".

— Napijemy się chyba, co?

— Możemy...

— Kelner dwie większe!

Sfilmowano natychmiast bufet z zakąskami i okazało się, że „surowiec" jest wcale niezły i można go zakupić loco asenizacja. Po chwili przez rury fabryczne, poczęły przepływać najrozmaitsze ciecze łatwopalne, żrące i cuchnące, przeplatane od czasu do czasu ładunkiem „surowca". Zjeżdżały w dół elewatorami: kapusta, szczypiorek, minogi, sardynki, musztarda, chrzan, płynęła rurami wódka i piwo. Pracownicy filtrów (nerek) harowali na cztery zmiany. Dyrektor filtrów nie mogąc sobie dać rady z taką ilością cieczy zaalarmował „dyrekcję naczelną" (mózg).

— Panowie, zlitujcie się — wołał — wstrzymajcie przynajmniej dopływ tego piwa! Tego żadne filtry nie wytrzymają! Zmarnuje się cała aparatura!

— Niech się zmarnuje — odpowiedziano z „dyrekcji"—my robimy, co do nas należy, mamy na to budżet, który musimy w terminie wydatkować, a pańską rzeczą jest przepuścić przez filtry cały sobotni kontyngent wódki i piwa — odłożono słuchawkę.

— Kelner, jeszcze dwa piwka— zabrzmiały w górze głośniki i po chwili do magazynu wpłynęły nowe ładunki surowca, a do zbiorników świeża wódka i piwo.

— Panowie! co się tu dzieje! Ratujmy fabrykę — alarmował dyrektor przetwórni chemicznej — tego żaden robotnik nie wytrzyma!

— Musicie panowie coś na to zaradzić, bo mi pompa nawala — wtrącił monter przy pompie ssąco - tłoczącej (serce). — Pompa gotowa pęknąć i wtedy co, cała fabryka stanie, jak nic, o. patrzcie, jak to wali, 100 na minutę.

— Puścić syrenę alarmową! — zarządził energicznie kierownik wentylacji i po chwili w głośnikach rozległo się czkanie:

— Antek, musisz chwilę sfolgować z tem piciem, to ci czkawka przejdzie — doradziła dyrekcja „fabryki" sąsiedniej.

— E! co tam, i tak przejdzie, kelner jeszcze dwa piwka... hep...

I znowu strumienie cieczy popłynęły rurami, napełniając zbiorniki i, przelewając się przez brzegi. W zalanych alkoholem połączeniach telegraficznych, powstały krotkie spięcia. Fabryka poczęła funkcjonować nieskoordynowanie i nawet chwiać się na swoich fundamentach.

— Urżnąłeś się, Antek, zataczasz się—zakomunikowały głośniki z sąsiedztwa.

— Hep! — odpowiedziała syrena z fabryki „Antoni".

W zapełnionym aż po sufity magazynie (żołądek) powstała panika.

— Nie zdąży się przerobić wszystkiego — rozpaczał kierownik magazynu, załamując ręce.—Czy nie moglibyście nam trochę ulżyć? — zwrócił się do dyrektora asenizacji.

— Nie mogę, jestem bezradny, wszystkie przewody zatkane.

— Może gazownia zechce przyjść nam z pomocą?

— Wszystkie rury zalane, gaz nie ma ujścia.

— Co to będzie, co to będzie?— biadał dyrektor filtrów.

— Jeszcze tak dalej, a pompa pęknie. I robi teraz 176 na minutę.

— Olejarnia zdezelowana, trzeba będzie od nowa wszystko remontować.

— A czy górą nie da się trochę tego wypuścić? — wtrącono z działu pokątnych doradców.

— Właśnie, możeby górą... — podchwycono tę myśl skwapliwie.

— Obrazi się dyrekcja.

— Niech się obrazi, sama sobie winna, jazda.

Dano natychmiast kontrparę i elewatory poszły w odwrotnym kierunku. Głośniki stęknęły głucho i część niezużytego surowca jechała spowrotem na światło dzienne.

— Antek! Co robisz, nie tu w lokalu! — zagrzmiało ostrzegawczo.

Fabryka „Antoni" nie odpowiedziała, wszystkie maszyny działały samopas, siejąc grozę i zniszczenie. Słaniając się na żel-betonowych nogach, pan Antoni pakował się z trudem do dorożki, wspierany skwapliwie przez przyjaciela. Następny dzień upłynął mu w snach, projektowanych przez kiepskich i makabrycznych scenarzystów.

W poniedziałek pan Antoni wstał, umył się, ubrał i poszedł, jak zwykle, do fabryki irygatorów, gdzie pracował, jako monter. Czuł się bardzo nieswojo, — zresztą nie bez przyczyny. Czyż może się dobrze czuć fabryka w fabryce?

Apollo Belwederski



Rys. Zygmunt Jurkowski.

Janusz Minkiewicz

Aktualja

Bóstwo satyryków, ideał dowcipnisiów, marzenie kalamburzystów, pastwa humorystów. — jednem słowem poseł Stroński — był łaskaw umieścić na łamach „ABC" artykuł, w którym przyrównał politykę na Wierzbowej do... szopki na Karowej. To wielki zaszczyt dla M. S. Z-etu — takie porównanie. Szopka jest imprezą modną, przyjemną i nie po dupadającą. Stwierdzam to dlatego, że w związku z artykułem posła Strońskiego, uderzyła mnie inna, podobna analogja między imprezami: widowiskową i polityczną.

Oto byłem ostatnio na dwóch charakterystycznych widowiskach: w jednym z teatrzyków rewjowych i na posiedzeniu Sejmu. Jeszcze pięć lat temu takie imprezy stanowiły w Warszawie prawdziwą sensację. Tłumy zdradzały wybitne zainteresowanie każdą nową premjerą, każdą nową sesją. Przeciętna rewja w „Morskiem Oku" szła przez kilka miesięcy, przeciętna sejmowa trwała szereg tygodni. Publiczność waliła na obie imprezy drzwiami i oknami, zaczytywała się recenzjami i sprawozdaniami. Każde udatne powiedzenie, każdy dobry żart, każde zręczne słówko było na ustach całej stolicy.

Powoli moda zaczęła przechodzić. Sesje i rewje stawały się co raz krótsze, powodzenie przestało dopisywać. Dziś doszło do tego, że sesja budżetowa trwa jeden dzień, a i program rewjowy utrzymuje się na afiszu niewiele dłużej.

Czemu przypisać taki upadek obu widowisk?

Chyba temu, że obie imprezy straciły całą swą niedawną ostrość. Trudno przemycić jest teraz w rewji dobry żart polityczny, trudno w obecnej konstelacji sejmowej wywołać jakieś szersze echo. Najpoważniejsze sprawy spławiane zostają beztrosko, a na porządek dzienny wypływa karna, lojalna nuda.

Dziś już nie biorą nikogo błyskotliwe dowcipy popularnego ongiś aktora Sanojcy, nie wzbudzają zainteresowania częste wystąpienia posła Lawińskiego, o komiku Kleszczyńskim nikt już na widowni nie pamięta, nuży wszystkich monotonna konferensjerka marszałka Jarossy'ego.

Koleżanka Moraczewska zestarzała się już i przestała interesować swoją osobą licznych doniedawna wielbicieli, o zdolnym zapowiadaczu Rataju słuch prawie zaginał. Świetny artysta starej daty Daszyński także poszedł w zapomnienie, a Daszyńska należy dziś do „T. K. K. T.".

Szmoncesy Wiślickiego nie biorą już całkiem, produkcje posła Parnella także nudzą publiczność, ba, nawet najpopularniejszy mistrz Stroński nie wzbudza dawnego entuzjazmu i zainteresowania!

Jak przy kasie każdego teatrzyku, tak przy kasie sejmowej, która nie wypłaca djet posłom siedzącym w kryminale, lub skazanym przez sąd klubowy, wisi szablonowa tabliczka z napisem: „Po odejściu od żłobu żadne reklamacje uwzględniane nie będą!"

Jedno się nie zmieniło w sejmie i na rewji. Oto aż po dzisiejszy dzień zawsze i stale przychodzą zarówno tu, jak i tam — członkowie rządu. Tym stosunkowo najmniej obrzydły słynne Sławek-girls i urocze posłanki spotykane w kuluarach „Wielkiej Rewji".

Ale dla wszystkich sejm i rewja, to niepowrotna przeszłość! Trudno, trzeba pogodzić się z tem, że z całej dawnej świetności obu imprez została tylko klaka...

Wiktor Podoski

Subskrypcja drzeworytów w r. 1980

Kolegom z „Rytu" poświęcam.

Awjonetka cicho osiadła na asfalt dziedzińca zakładów wydawniczych „ABC".

„Dwa złote, czterdzieści", — powiedział pilot, zamykając licznik. Wysiedliśmy. Właśnie trzy półciężarówki ladowały drzeworyty Cieślewskiego, zakupione przez M. S. Wojsk., dla siódmej dywizji strzelców podhalańskich. Cieślewski, po narysowaniu ostatniej, nie tkniętej jeszcze jego rylcem kamienicy Starej Warszawy, stanął wobec smutnej, lecz nieubłaganej konieczności zmiany zwykłego tematu swych rycin. Zaczął więc opiewać góry.

Gdy podchodziliśmy do gmachu, u szczytu którego jaśniał potężny neon: „Wydział subskrypcji drzeworytów", dobiegł nas z parteru zmieszany gwar dziecięcych głosów. Mój towarzysz wyjaśnił:

„To przedszkole drzeworytnicze dla dzieci Powiśla, założone przez subskrybentów. Kierownikiem jest syn uczestnika I-ej subskrypcji „ABC". Na pierwszem piętrze mieści się muzeum Może wejdziemy?".

„Bardzo chętnie".

Wspaniałe, marmurowe schody zawiodły nas do olbrzymiej sali Trafiliśmy na moment, gdy starszy, elegancki, tęgawy, z nieskazitelnym rozdziałkiem pan objaśniał publiczności:

.....w następnej gablocie widzą państwo laskę, którą posługiwał się św. Józef, pozując mi do „Ucieczki".

„To Chrostowski" — szepnął do mnie mój kompan.

„Podobizna tej laski w minjaturze" — ciągnął dalej znakomity artysta — „jest do nabycia w kasie i może służyć jako bardzo elegancki przycisk na biurko. Ale, à propos, muszę państwu powiedzieć: Kiedy byłem ostatnim razem w Londynie, król angielski powiada mi: Kochany Panie Stanisławie, jednego panu zazdroszczę"...

W tej chwili odwróciła uwagę moją para staruszków, zmierzająca ku drzwiom, z napisem: Winda pp. artystów. Byli to Gardowscy. Zawsze jeszcze piękna pani Bogna prowadziła pod rękę siwiuteńkiego, jak łysy gołąb, męża. Staruszek zdziecinniał już zupełnie. Wsiedli do windy, a jednocześnie inna, daleko większa, wyrzuciła ze swego wnętrza nową partję subskrybentów. Kilka osób spytało o prof. Bartłomiejczyka.

„Wydział prof. Bartłomiejczyka!" — krzyknął boy.

„Wydział pr. Bart...czyka" — powtórzył drugi. Oko komórki foto - elektrycznej zajaśniało nad drzwiami, które się uchyliły zwolna i jednocześnie dał się słyszeć głos automatu: Prosimy.

Zmieszaliśmy się z tłumem, który wszedł na platformę ruchomej podłogi, by wysiąść o piętro wyżej. W długiej sali wił się olbrzymi wąż ogonka, mimo, iż za kontuarem obsługiwało publiczność 20 urzędników. Sam profesor, raczej dla przyjemności, niż z potrzeby, wiązał, na paczkach z drzeworytami, kokardki ze sznurka. W przerwie, między jedną, a drugą kokardką, nachylił się do mnie i powiedział:

„Bardzo lubię takie mechaniczne zajęcie, to ogromnie odświeża umysł".

„Babcia Wiktorja zaraz przyjdzie" — oznajmił z powagą jakiś malec, podchodząc do naszego stołu.

„To wnuczek Goryńskiej" — wyjaśnił Bartłomiejczyk.

„Podobno nasza Wiktorja z wiekiem staje się coraz bardziej lakoniczna. Opowiadano mi, że podczas rautu na Zamku, przedstawiona premjerowi jednego z państw najbliższej nam planety, powiedziała z prostotą: „Jestem Wiktorja". „Czy angielska?" zapytał dygnitarz, słabo jeszcze obeznany z datami i historją naszego globu. „Nie, — Goryńska" — brzmiała odpowiedź. Dygnitarz stropił się na chwilę lecz, zaraz przypomniał sobie coś i powiedział: „Zawsze podziwiałem wasz bohaterski naród".

W tym momencie ciekawą dyskusję przerwał nam jakiś hałas, stukot i gniewne okrzyki. Drzwi się nagle otwarły i do sali wpadł drobnym, prędkim kroczkiem, jakiś bardzo, jeszcze rzeźki i krewki staruszek. Był to Tadeusz Cieślewski syn. Wymachiwał kijaszkiem i groził, że zdemoluje lokal i wysadzi w powietrze redaktora.

„Za twoje ryto jeszcze cię pobito!"! — krzyczał niewiadomo pod czyim adresem.

Niebawem dowiedzieliśmy się, o co mu poszło. Okazuje się, iż poprzedniego dnia, podpisując odbitki drzeworytów, przy drugim tysiącu był już trochę zmęczony. Kładąc podpis na 1375-tym drzeworycie, ręka starcza zadrżała i zamiast Cieślewski Syn, palce jej skreśliły: Cieślewski Sym.

Na drugi dzień, egzemplarz z tym podpisem osiągnął na licytacji drzeworytów „Towarzystwa Subskrybentów ABC" niebywałą wprost cenę, jako jedyny unikat, wykonany wspólnie przez Cieślewskiego, oraz Igo Syma, prezesa „Stowarzyszenia zemerytowanych amantów". To oczywiście zdenerwowało staruszka.

Uspokajaliśmy go wszelkiemi argumentami, jakie tylko nam się nasunęły, gdy w tem ostrzegawcze sygnały świetlne, przy windach, zaczęły mrugać, alarmując, że coś jest nie w porządku. Sprawna obsługa techniczna, przy udziale subskrybcji, wnet odkryła przyczynę alarmu. Okazuje się, że Gardowski, jadąc na ostatnie piętro, do biura wydawnictwa drzeworytów żony, zaczął po drodze opowiadać chłopakowi od windy o swojej czcionce drukarskiej. Chłopak zasnął i przez sen nacisnął niewłaściwy guzik, tak, iż winda (pośpieszna!) z rozpędem stuknęła o sufit ostatniego piętra i stanęła tam, zepsuta.

Na szczęście wypadek nie pociągnął za sobą żadnych, poważniejszych następstw.

Bolesław Miciński

* * *

panu brzękowskiemu pionierowi awangardy niniejsze dzieło poezji integralnej ofiarowuje —
autor

wieczór uda kobiece różowe
podobne szynkom
pod czarnych wałców farbą nasyconych wyciska
w szynku
lampa czarwona
sadzę na ścianach osadza
błyska łuska
i szybom zdechłym wagry zastarzałe wyciska

odejdź nie trzeba
paryż nie jest bajką
bo szeleści pieluszkami niemowląt
schylonych nad kuflem piwa
na niebo jak na obrus pomazany
musztardą
wystrzeliło na wiwat
słońce na twardo
ugotowane jajko